

wiając tylko szyldkretowy grzebyszek, łaskę różn Dorin na usta i pustą portmonetkę. Do dyabła! Interes interesem. Zresztą mąż jej uprawia rzemiosło tak mało zaszczytne!..

Pozostawał mi jeszcze ten człowiek. Zaczynał poruszać się. Co mam z nim zrobić? Nie mam upoważnienia ani go wyratować, ani skazać.

Odebrałem mu broń i strzeliłem z rewolweru w powietrze.

— Tamci dwaj zaraz nadejdą — myślałem — niech sobie radzi z nimi, jak chce. Stanie się tak, jak każe jego przeznaczenie.

I biegnąc, oddaliłem się drogą przez wawóz. We dwadzieścia minut potem droga poprzeczna, którą zauważyłem podczas naszego pościgu, zawiodła mnie wprost do mego samochodu.

O czwartej popołudniu nadałem depeszę do moich przyjaciół w Rouen, powiadamiając ich, że nieprzewidywany wypadek przeszkodził mi w zamierzonej wizycie. Mówiąc między nami, obawiam się, czy nie będę zmuszony odłożyć ją w nieskończoność. Okrutne dla nich rozczarowanie!

O szóstej wjeżdżałem do Paryża przez l'Isle Adam, Enghien i bramę Bineau.

Dzienniki wieczorne przyniosły mi wiadomość, że udało się наконец pojmać Piotra Onfrey.

Nazajutrz — nie wzgardziwszy usługami rozumnie pojętej reklamy — *Echo de France* zamieściło wzmiankę sensacyjną:

„Wczoraj w okolicach Buchy, po licznych wypadkach Arsen Lupin dokonał aresztowania Piotra Onfrey. Zbrodniarz z ulicy Lafontaine, w pociągu między Paryżem a Havrem ograł panią Renaud, małżonkę wicedyrektora zakładów karnych. Arsen Lupin zwrócił pani Renaud jej torebkę, zawierającą klejnoty, i wspólnie wynagrodził dwóch agentów tajnej policji, którzy mu pomagali w dokonaniu tego dramatycznego aresztowania.

Naszyjnik królowej.

Dwa lub trzy razy do roku, przy ważniejszych uroczystościach, jak bal w poselstwie austriackim, albo wieczór u lady Billington, hr. de Dreux-Soubise wkładała na swe białe ramiona „Naszyjnik królowej“. Był to sławny naszyjnik, naszyjnik legendy, który Böhmer i Bassenge, jubilerowie dworu, przeznaczali dla księżnej Du Barry, który kardynał de Rohan-Soubise chciał ofiarować Maryi Antoninie, królowej francuskiej, a który Joanna de Valois, hrabianka de la Motte, sławna awanturka, pewnego lutowego wieczoru 1785 r. zebrała na części przy pomocy męża swego oraz współwinowajcy, Rétaux de Vilette.

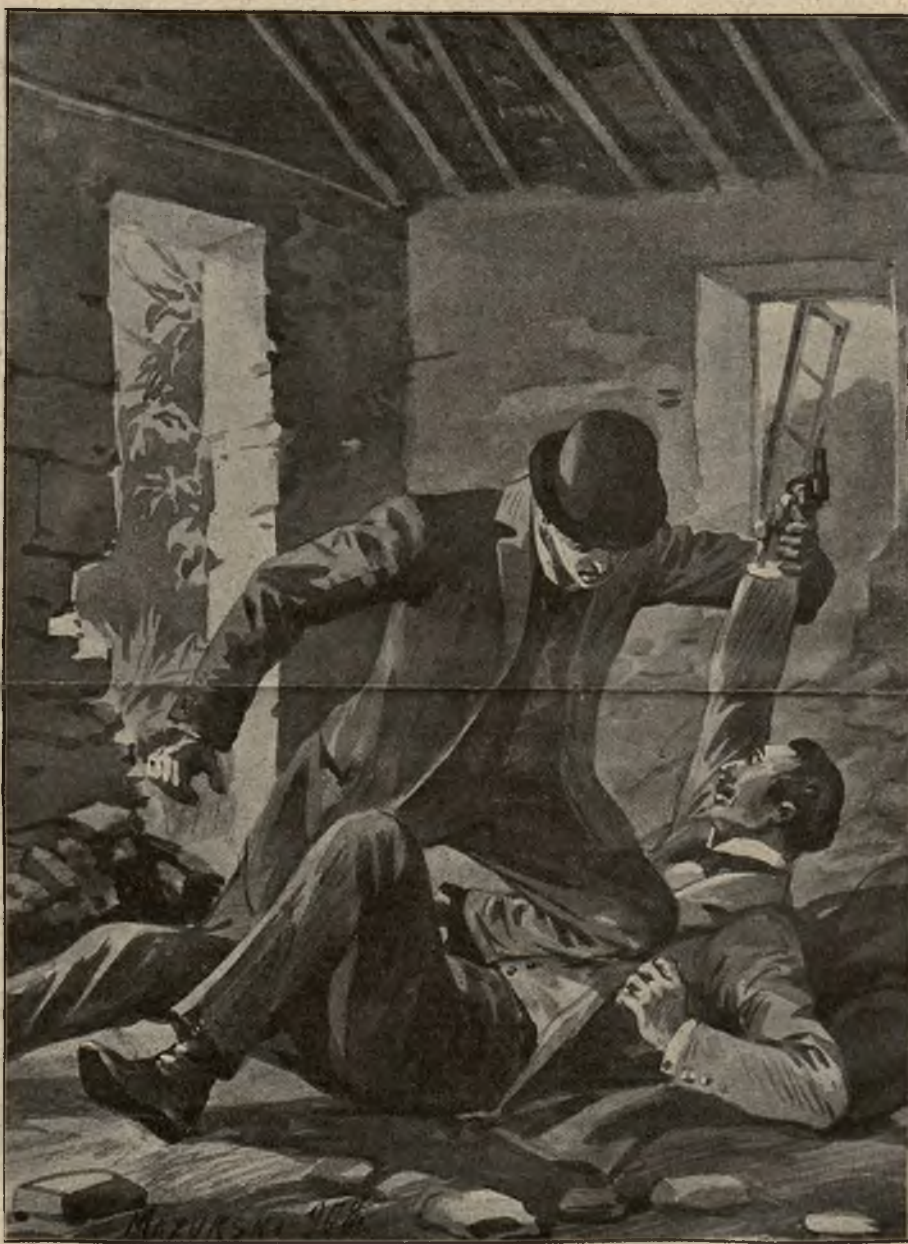
Mówiąc prawdę, jedynie sama osoba pozostała autentyczna. Zachował ją Rétaux de Vilette, podczas gdy imć pan de la Motte i jego żona puścili na cztery wiatry brutalnie wydarte kamienie, przepyszne klejnoty, które Böhmer tak starannie dobierał. Później Rétaux de Vilette sprzedał oprawę we włoszech Gastonowi de Dreux-Soubise, siostrzeńcowi i dziedzicowi kardynała, który wyratował go z ruiny przy rozgłosnem bankructwie Rohan-Guéménée; Dreux-Soubise na pamiątkę swego wuja, dla którego czuł zawsze głęboką wdzięczność, wykupił część brylantów, które pozostawały jeszcze w posiadaniu angielskiego jubilera Jefferys, dopełnił je innymi, wprawdzie znacznie mniejszej wartości, ale tego samego rozmiaru i tym sposobem cudowny „naszyjnik w niewoli“ został odtworzony w takiej postaci, w jakiej wyszedł z rąk Böhmera i Bassenge'a.

Blisko całe stulecie Dreux-Soubises pysznili się z posiadania historycznego klejnotu. Chociaż różne okoliczności znacznie zmniejszyły ich fortunę, woleli uszczuplić wydatki domowe, niż pozbyć się drogocennej, królewskiej relikwii. Zwłaszcza dzisiejszy jej posiadacz cenił ją, jak cenił się stary dom ojcowski. Przez troskliwość wynajął nawet w Lyonskim banku kredytowym skrynkę, do której klejnot chował. Kiedy żona chciała się ubrać w naszyjnik, sam chodził przed wieczorem do banku i sam go odnosił nazajutrz.

Tego wieczora na przyjęciu w Pałacu Kastylskim hrabina święciła prawdziwe tryumfy i nawet sam król Chrystyan, dla którego wydawano ten bankiet, zwrócił uwagę na jej piękność wspaniałą. Klejnoty połyskiwały na wdzięcznej jej szyi. Tyśiące płaszczyń brylantowych lśniły się i promieniami tryskały w potokach światła. Zdawało się, że żadna inna kobieta nie potrafiłaby nosić tak swobodnie i z taką dumą tego ciężaru królewskiego.

Był to zatem tryumf podwójny i hr. de Dreux-Soubise nasycił się nim głęboko; gdy znaleźli się już w swoim pokoju, w starym swym domu przedmieścia Saint Germain, dał ujście swemu zadowoleniu. Czuł się dumny zarówno z żony jak i z klejnotu, który od czwartego pokolenia okrywał sławą dom jego. Żona pyszniła się także, w dziecinny nieco sposób, co niemniej było cechą dumnego jej charakteru.

Nie bez żalu zdjęła z szyi naszyjnik i podała go mężowi, ten przyglądał mu się z zachwytem, jakby po raz pierwszy go widział. Potem ułożył



Usiłował wycelować na mnie trzymany w ręku rewolwer.

starannie w pudełku z czerwonej skóry, ozdobionem herbem kardynała, i udał się do sąsiedniego pokoiku, raczej rodzaju alkowy, zupełnie oddzielonej od ich pokoju, do której jedyne drzwi znajdowały się w rogu ich łóżka. Postawił pudełko, jak zwykle to czynił, na półce dość wysoko wzniesionej, ukrywając je wśród pudeł z kapeluszami i stosów bielizny. Następnie zamknął drzwi i zaczął się rozbierać.

Nazajutrz wstał około dziewiątej z zamiarem pójścia przed śniadaniem jeszcze do banku kredytowego. Ubrał się, wypił filiżankę kawy i zaszedł do stajni. Wydał tam rozporządzenia. Zanepokoił go jeden z koni. Kazał go przeprowadzić przed sobą w dziedzińcu. Potem powrócił do żony.

Nie wychodziła jeszcze wcale z sypialni; przy pomocy pokojowej czesała się właśnie. Rzekła do niego:

— Zamierzasz wyjść?

— Tak... chcę odnieść...

— Ach rzeczywiście!... zawsze to lepiej...

Wszedł do alkowy. Po kilku chwilach zapytał bez najmniejszego zresztą zdziwienia:

— Wzięłaś go moja kochana?

— Jakto? co? Ależ nie, nic nie wzięłam.

— Więc przestawiłaś...

— Wcale!... Nie otwierałam nawet tych drzwi. Stałam na progu zmieszany, bełkocąc zaledwo zrozumiałym głosem:

— Nie brałaś?... To nie ty?... A zatem...

Przybiegła; zaczęli szukać gorączkowo, zrzucając pudła na ziemię, przetrząsając stosy bielizny. A hrabia powtarzał:

— Nadaremnie... wszystko to nadaremnie... Tutaj na półce postawiłem.

— Mogłeś się pomylić.

— Tutaj na tej półce, nie gdzieindziej.

Zapalili świecę, bo alkowa była dość ciemna i wynieśli wszystkie rzeczy, które się w niej znajdowały. Kiedy nie w niej nie pozostało musiała przyznać z rozpaczą, że sławny naszyjnik: „królewski naszyjnik w niewoli“, zniknął bez śladu.

Hrabina z natury energiczna, nie tracąc czasu na próżne żale, zawiadomiła natychmiast komisarza pana Valorbe, o którego przenikliwości i bystrym umyśle mieli już możność przekonać się pierwej. Gdy mu pobieżnie opowiedziano o szczegółach, zapytał:

— Czy pan hrabia jest pewny, że nikt nie mógł wejść w nocy do sypialni?

— Zapewnie jestem pewny. Mam sen bardzo lekki. Co więcej: drzwi były zamknięte na klucz. Kiedy żona dzwoniła dziś na służącą, musiałem otworzyć je kluczem.

— Czy niema drugiego przejścia, przez które można byłoby wejść do alkowy?

— Niema żadnego.

— A przez okno?

— Tak; ale okno jest zabite.

— Chciałbym wszakże zobaczyć.

Zapalono świecę i pan Valorbe przekonał się wkrótce, że okno było zastawione tylko do połowy wysokim kufrem, który nawet nie przylegał dobrze do ram okna.

— Przylega jednak o tyle, że usunąć go bez żadnego szmeru niepodobna — zauważył hrabia.

— A dokąd wychodzi to okno?

— Na kurytarzyk środkowy.

— A jest ponad nim jeszcze piętro drugie?

— Są dwa, ale przy mieszkaniu służących kurytarzyk ma okno zaopatrzone siatką z drobnych oczek. Dlatego to i u nas tak mało jest światła.

Zresztą skoro usunięto kufer, przekonano się, że okno jest zamknięte, co by być nie mogło, gdyby ktoś wtargnął był z zewnątrz.

— W każdym razie ten ktoś nie wyszedł przez nasz pokój — dorzucił hrabia.

— Nie znalazłbyś pan drzwi zamkniętych na klucz.

Komisarz pomyślał chwilę, a potem zwrócił się do hrabiny:

— Czy wiedział kto, że pani hrabina ma włożyć wieczorem naszyjnik?

— Zapewne; z tem się nie kryłam. Ale nikt nie wiedział, że chowamy go w alkowie.

— Nikt?

— Nikt... Chyba tylko...

— Proszę panią, racz pani mówić wyraźnie. Tu jest punkt najgłośniejszy.

Zwróciła się do męża:

— Myślałam o Henryce.

— Henryka? Nie wie tego, tak samo jak i inni.

— Czy jesteś pewny?

— Któż jest ta pani? — spytał pan Valorbe.

— Moja koleżanka z klasztoru; zerwała z rodziną, aby zaślubić biednego człowieka, rodzaj robotnika. Po śmierci męża przyjechała ją z synem do siebie; dałam im mieszkanie w tym domu.

I z pewnem zakłopotaniem dorzuciła:

— Czasem oddaje mi pewne drobne usługi; ma bardzo zręczne palce.

— Na którym piętrze mieszka?

— Na tem samem, co my... Zupełnie blisko, na końcu tego kurytarza. I nawet, zdaje mi się, okno jej kuchni...

— Wychodzi na ten kurytarzyk, czy nie tak?

— Tak jest; właśnie naprzeciw okna alkowy.

(Ciąg dalszy nastąpi)